

Teksty Drugie 1992, 6 , s. 133-141



Cierpienie jako towar

Barbara Zielińska

Cierpienie jako towar

Leopold Tyrmand w pisanych już w Ameryce *Zapiskach dyletanta* notuje między innymi taką oto rozmowę:

„Bunt jest naszym obowiązkiem” — rzekł pan domu. Siedzieliśmy w uroczym mieszkaniu w Greenwich Village; atmosfera i wystrój w tak dobrym guście, że nie protestowałbym, gdyby przyszło mi spędzić tam pod przymusem parę najbliższych lat. „Obowiązkiem?” — powtórzyłem zatopiony w myślach. „Nie podoba się panu to słowo?” — zapytał podejrzliwie gospodarz. „Przypuszczam, że to teraz zajęcie dość intratne. Zwłaszcza protest przeciw właściwej, autentycznej wolności. To nowy przemysł, nowy sposób ciułania grosza i zbijania kapitaliku. Żeby otworzyć taki biznes konieczne są trzy rzeczy: pióro, gitara i wolne społeczeństwo jako przestrzeń działań zawodowych. Protesty pisemne zapewniają niezły byt, śpiewane przynoszą miliony. Kto umie efektywnie wystawiać na pokaz swoje udręki społeczne i katusze, rychło zostaje milionerem. Bardzo liczy się sposób; ujęcie niedoli i męczarni musi być fachowo wyreżyserowane”.¹

Rozmowa ta miała miejsce w latach sześćdziesiątych. Jej kontekst polityczny dziś już przeminął. Demaskatorski ton oceny amerykańskiej kontestacji w wypowiedzi Tyrmanda traci po latach swój prowokacyjny charakter. Ciekawe natomiast pozostaje spojrzenie na bunt od strony jego wartości komercyjnej, przeliczenie społecznego cierpienia na pieniądze. Spostrzeżenie, że protest, wszelkie społeczne udręki i katusze po prostu dobrze się sprzedają.

Uwaga ta sprowokowała mnie do następującego pytania: na ile we współczesnej kulturze polskiej cierpienie, nasza, by tak rzec, tradycyjna „specjalność”, traktowane jest przez twórców jako towar na sprzedaż, podbijający komercyjną wartość książki. Okazuje się, że przykładów

¹ L. Tyrmand *Zapiski dyletanta*, Warszawa 1991, s. 75.

takiego handlowego podejścia do cierpienia jest sporo. Znaleźć je można właściwie w całej kulturze: w filmie, w literaturze, w życiu politycznym.

Traktowanie cierpienia jako towaru daje się zauważyć, po pierwsze, w pewnych zabiegach wydawniczych, jakim poddaje się literaturę łagrową. Po drugie, w poezji stanu wojennego i w całej kombatanckiej literaturze „solidarnościowej”; wreszcie — po trzecie, w pewnej odmianie sztuki, nazwijmy ją roboczo „klinicznej”. Chodziłoby tu o dzieła, których akcja toczy się w szpitalu, choć niekoniecznie, a przedmiotem opisu jest nieuleczalna choroba, patologia, ułomność.

Literatura łagrowa przynosi zapis doświadczeń ekstremalnych i nie jest moim zamiarem kwestionowanie ich autentyczności, ani tym bardziej twierdzenie, że któremukolwiek z autorów w literackim utrwalaniu tych doświadczeń przyswiecał cel merkantylny. Nie mam ani podstaw, ani prawa do formułowania takich sądów. Chodzi mi głównie o pewne procedury dokonywane niejako „ponad głowami” autorów. Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zaistniał u nas, jak wiadomo, swoisty „boom” na literaturę łagrową, zupełnie zresztą zrozumiałą — likwidowano cenzurę. Ten niezmiernie ważny odłam nie istniejącego dotąd w pierwszym obiegu piśmiennictwa domagał się jak najszybszego udostępnienia czytającej publiczności. Jedną z pierwszych pozycji, jaka ukazała się z tej dziedziny na rynku księgarskim była wydana w 1989 roku przez wydawnictwo Alfa antologia *My, deportowani*. Książka składa się między innymi z fragmentów dzieł znanych na świecie klasyków literatury łagrowej: Czapskiego, Grubińskiego, Herlinga–Grudzińskiego, Obertyńskiej. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie fakt, że wydawnictwo, jak twierdzi Herling–Grudziński, pozwoliło sobie na wypuszczenie tej składanki obywatelom bez zgody żyjących autorów. Wydawnictwu Alfa zależało na czasie. Tylko bowiem uprzedzając innych wydawców można było napisać we wstępie: „książki, z których dokonano wyboru fragmentów, nie były dotychczas publikowane w kraju”². Mimo stwierdzenia autora opracowania: „przy wyborze poszczególnych fragmentów kierowałem się zasadą komplementarności”³ nietrudno zauważyć, jak ważną rolę w selekcji odegrała drastyczność scen, zawarty w nich duży ładunek cierpienia. Te dwa fakty: wybór fragmentów najbardziej martyrologicznych i po prostu piractwo, druk bez zgody autorów, by ze względu na pierwszeństwo publikacji „chodliwego” tematu zebrać maksimum zysku, upoważniają

² *My, deportowani. Wspomnienia Polaków z więzień, łagrów i zsyłek w ZSRR*, wybór i oprac. B. Klukowski, Warszawa 1989.

³ Op. cit., s. 9.

do wniosku, że na poziomie wydawniczym cierpienie traktuje się tu jako atrakcyjny do sprzedania towar.

Najbardziej może kuriozalnym przykładem merkantylnego traktowania cierpienia wpisanego w literaturę łagrową jest użytek, jaki zrobił z fragmentu *Innego świata* Witold Filler. Oddajmy głos samemu Herlingowi:

Powstało podobno jakieś pismo pornograficzne, którego nazwy dobrze nie pamiętam, „Plajt Boy” czy coś takiego. Wiem tylko, że redaktorem pisma jest osławiony niegdyś Witold Filler, który po prostu wyjął z *Innego świata* opis sceny gwałtu w obozie i w ten sposób czytelnikom zaproponował mnie jako pisarza pornograficznego, czy — należącego do tej kategorii. To są rzeczy naprawdę karygodne.⁴

Bohaterka wspomnianej sceny, zgwałcona przez urków Ukrainka, unieważniła właściwie swoje upokorzenie, obdarzając jednego ze swych oprawców zaskakującym uczuciem, nieprawdopodobnie czystą miłością. Jak bohaterowie Dostojewskiego — poprzez maksymalne poniżenie dostąpiła oczyszczenia, wpisując się w dialektykę upadku i świętości. Wybierając z tej całości jedynie scenę gwałtu Filler zredukował związek degradacji i wywyższenia do pierwszego członu, sprowadzając wszystko do aspektu, który uznał za najlepszy do sprzedania — do sensacyjnej pornografii.

Najwdzięczniejszym jednak terenem, gdzie motyw cierpienia występuje w sposób oczywisty w funkcji komercyjnej jest kombatancka literatura „solidarnościowa”, a także, o dziwo, niektóre pozycje z — satelitarnej wobec tamtej — literatury, której bohaterami, czasem nawet autorami, są byli promienci — Gierek, Kiszczak, Rakowski, Jaruzelski. Sporo spektakularnych przykładów takiej martyrologii przynosi także popularna poezja stanu wojennego odwołująca się do romantycznych stereotypów przeżywania klęski narodowej w sposób masochistyczny.

Fakt, że polska egzaltacja narodowym cierpieniem ociera się o patologię, zauważono już dawno; orientacja szyderców ma nawet swoich klasyków. Za sytuację modelową literatury prześmiewców uznać można scenę z *Monizy Clavier* Mrożka:

— O, tu, wybili, panie, za wolność wybili!

Nastąpiło zamieszanie. Ucichli, patrzyli na mnie, nie mogli zrozumieć, o co mi chodzi. A przecież chciałem tylko uprzytomnić im w sposób jasny i przystępny, niejako pogładowy, cierpienia mojego narodu”.⁵

Tę skłonność do cierpiętniczego ekshibicjonizmu tłumaczy się najczęściej żywotnością paradygmatu romantycznego, który uaktywnia

⁴ *Dawni mistrzowie*. Rozmowa z Herlingiem–Grudzińskim przeprowadzona przez Z. Kudelskiego, „Tygodnik Literacki” 1990 nr 10.

⁵ S. Mrożek *Moniza Clavier*, w: *Polska nowela współczesna*, Kraków 1987, t. 2, s. 336.

się w porównywalnych okolicznościach politycznych, w wersji popularnej przybierając czasem formy karykaturalne. Abstrahując jednak od rodzimej tradycji, można spojrzeć na inny aspekt tej samej sprawy: to towar, który zawsze dobrze się sprzedaje.

W postsolidarnościowej literaturze „kombatanckiej”, której bohaterami są często aktywni dziś politycy, prześladowania, związane z nimi udręki i cierpienia funkcjonują jako dowody dzisiejszej wiarygodności, stają się więc politycznym argumentem. Pobyt w „internacie” po ogłoszeniu stanu wojennego stał się chlubną kartą poważnego polityka przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Ponieważ jednak, co potwierdzają świadectwa, pobyt w owych miejscach odosobnienia nie był aż tak straszny, w relacjach podkreśla się cierpienia psychiczne i moralne spowodowane już to upokorzeniami ze strony nadzorców, już to przejmującym niepokojem o najbliższych, tęsknotą za rodziną. Pisze na przykład autor *Dziennika internowanego*, że dyskusje w celi na temat ewentualnego podpisania lojalek „przecięło zdanie mojego dziecka: tatusiu, nie podpiszesz żadnych oświadczeń, prawda?”⁶ Trudno się oprzeć wrażeniu, że opisywane często przez internowanych głodówki zakładane były w dużej mierze po to, by aktywnie wypełnić scenariusz walczącego o słuszną sprawę więźnia, natomiast władze psuły brutalnie ten wizerunek poprzez dokarmianie na siłę. Opisy takiego dokarmiania przedstawianego jako męka noszą odcień niezamierzonej dwuznaczności: „Szósteo czy siódmeo dnia przystąpili do dokarmiania — czytamy w książce *Polityczni*. — Sadzali na krześle, ładowali rurę... To były męczarnie, niektórzy z kolegów nie mogli tego wytrzymać i odłączali się. Kilku przy dokarmianiu pobito”⁷. W *Dzienniku internowanego* jest nawet mowa o świadomym traktowaniu głodówki jako zjawiska przydatnego do kreowania obrazu samego siebie: „nie mam złudzeń — czytamy — że dla nich jest to rzecz śmieszna i bez znaczenia (...). A jednak, żeby odzyskać szacunek dla siebie, trzeba było tak postąpić”⁸.

W książkach tych często reaktywuje się romantyczny stereotyp spisowca oraz stereotyp więźnia. Przychodzi to autorom o tyle łatwo, że — czego są świadomi narratorzy–więźniowie, odpowiada on oczekiwaniom publiczności. Jednak tylko niektórzy autorzy przyznają, że jest różnica między tymi oczekiwaniem a rzeczywistością: „o nas w Strzebielinku — czytamy na przykład w *Dzienniku internowanego* — rozsiewa

⁶ J. Mur [A. Drzycimski, A. Kinaszewski] *Dziennik internowanego*, Gdańsk–Warszawa 1989, s. 30.

⁷ *Polityczni. Opowieści uwiezionych w Polsce (1981–1986)*, Warszawa 1989, s. 48.

⁸ J. Mur, op. cit., s. 71.

się plotki, że przebywamy w strasznych warunkach, jesteście poranieni, mamy połamane ręce i nogi, komuś oberwano uszy”⁹.

Ciekawe, że motyw cierpienia w podobny sposób wykorzystują w swych książkach przedstawiciele drugiej strony barykady wielkiej konfrontacji politycznej lat osiemdziesiątych. Pisali oni swe książki w czasie, gdy ich orientacja przegrała. Cierpienie pełni tu funkcję oczyszczającą, ma przynajmniej częściowo wymazać winy, do jakich niektórzy w jakiejś mierze się poczuwają. W książce *Jak to się stało* M. F. Rakowski pisze:

Gdy dziś notuję, niemal każdego dnia, wręcz brutalne ataki na moją formację ideologiczną, budzenie demonów nienawiści i politycznej nietolerancji, od której uwalnialiśmy się stopniowo, ale z dobrym skutkiem — mam na myśli „Okrągły Stół” — to uważam, że popełniliśmy grzech naiwności. Są to oczywiście uwagi polityka, który przegrał.¹⁰

Dariusz Fikus, były współpracownik Rakowskiego z „Polityki”, pisze w książce *Foksal’ 81*, że Rakowski w okresie swej największej aktywności politycznej — jako premier — świadom niepopularności przedstawiał siebie wobec współredaktorów pisma jako kogoś, kogo naród nie rozumie; ale „naród nie rozumiał także Stanisława Augusta Poniatowskiego ani Aleksandra Wielopolskiego”¹¹. Rakowski chce się więc przedstawić jako tragiczny polityk wielkiego formatu, jeden z niewielu rozumiejących historyczne konieczności i w imię wyższych racji znoszący nawet niepopularność wśród narodu. W tym ujęciu Rakowski przestaje być prominentem, staje się męczennikiem historii. W napisanej później książce wspomnieniowej byłego premiera motyw zrozumienia konieczności dziejowej znika, okazało się, że nie była aż tak konieczna. Sprawowanie funkcji premiera przedstawiane jest natomiast jako praca niewdzięczna, przynosząca gorycz, zderzająca się co krok z niezrozumieniem.

Publicznej spowiedzi dokonał także Wojciech Jaruzelski. W związku ze sprawą wprowadzenia stanu wojennego rozwija on teorię mniejszego zła, pisze o cenie psychicznej, jaką zapłacił za tę decyzję:

Jest sobota, 12 grudnia, minęła kolejna ciężka noc. Trudno ją nazwać nocą snu i odpoczynku. Cały ten okres — zwłaszcza ostatnie tygodnie i dni — były udręką, koszmarem. Może jako żołnierz nie powinienem ujawniać stanu swego ducha, ludzkiej słabości, która prowadziła do desperackich myśli. Nieraz kładłem dłoń na chłodnej rękojeści pistoletu. Ale to wspomnienie osobiste...¹²

⁹ Tamże, s. 45.

¹⁰ M. F. Rakowski *Jak to się stało*, Warszawa 1991, s. 210.

¹¹ D. Fikus *Foksal’ 81*, Wrocław 1989, s. 169.

¹² W. Jaruzelski *Stan wojenny — dlaczego...*, Warszawa 1992, s. 1.

W podobnym tonie, jako o człowieku przede wszystkim umęczonym, pisze o generale w notatce z 1989 roku Rakowski:

Musi rzeczywiście przejść drogę krzyżową. Czy warto się tak szarpać? Trudno powiedzieć. Jedno jest pewne. Jeśli zostanie prezydentem, to za olbrzymią cenę (stresy, fizyczne wyczerpanie). Być może, że byłoby lepiej, gdyby odszedł ze wszystkich stanowisk, a ja w ślad za nim.¹³

W tej orientacji dominuje więc obraz heroicznego polityka, który składa siebie na ołtarzu historii, a jeśli nawet popełniał błędy, to tylko w imię czystej wiary w dziejową konieczność. Kolejne ofiary ukąszeń Hegla.

Obie strony wielkiego politycznego sporu posługują się więc cierpieniem w sposób w gruncie rzeczy podobny. Traktują je jako argument wpływający korzystnie na moralny wizerunek podmiotu. Za czym oczywiście kryje się przeświadczenie—stereotyp, że cierpienie uszlachetnia.

Następnym kręgiem, w którym trudno nie zauważyć komercyjnego podejścia do cierpienia, jest sztuka, którą nazwałam poprzednio „kliniczną”. Chodzi tu o dzieła, których tematem jest zmaganie się z fizyczną lub psychiczną niemożnością. Kariera motywu choroby, patologii, kalectwa w kinie współczesnym, sukcesy takich filmów jak *Przebudzenie*, *Rain Man*, *Moja lewa stopa* czy naszych *Nienormalnych* świadczą o tym, że takie egzotyczne dla przeciętnego bywalca kina drastyczności są bardzo filmowe. W poświęconym tej sprawie artykule Joanna Szczęsna pisze:

To, że inwalida, jego problemy osobiste i zawodowe, jego heroiczne próby by sprostać wymaganiom ludzi zdrowych mogą być atrakcyjnym tematem dla mediów, Amerykanie zauważyli już dawno. Ani telewizja ani film nie stronią więc od tej tematyki. Detektyw na wózku inwalidzkim (był taki serial na jednym z kanałów), niewidoma kobieta kontra bezwzględni przemytnicy narkotyków (Audrey Hepburn w *Doczekać zmroku*), romans głuchej dziewczyny z nauczycielem (Marlee Martin w *Dzieciach gorszego Boga*), uczenie się życia na nowo przez sparaliżowane ofiary wietnamskiej wojny (John Voight w *Powrocie do domu* i Tom Cruise w *Urodzonym 4 lipca*) — jakież tu pole do popisu dla inteligentnego scenarzysty, jakie możliwości dodatkowego potęgowania napięcia [...] walka o prawo do normalnego życia w oparciu na autobiografii niewidomej i głuchej Heleny Keller *Cudotwórczyni* czy wspomnienia Christy Browna (*Moja lewa stopa*) wzruszały się tym tysiące widzów na całym świecie.¹⁴

Z jednej strony jest to na pewno pozytywna próba osławiania społeczeństwa z problematyką niepełnosprawnych, z drugiej jednak — komercjalizacja tematu. Filmy te często tchną tak zwanym trudnym optymizmem, mają skłonność do ocierania się o sentymentalizm. Czasem lekko

¹³ M. F. Rakowski, op. cit., s. 241.

¹⁴ J. Szczęsna *Kiedy prezydentem USA zostanie inwalida*, „Gazeta Wyborcza” 1992 nr 107.

falszywy ton wprowadza zbyt natrętny dydaktyzm. Bohater pozytywny tych filmów, człowiek, który przechodzi samego siebie czasem w nieprawdopodobny sposób, musi budzić podziw. Bagatelizuje się te sprawy, które ich pechowym bohaterom się nie udają. Elementy upadku, jeśli nawet się pojawiają, to zazwyczaj tylko po to, żeby efekt końcowej glorii był większy. Nie znam filmu, którego główny bohater chory na coś nieuleczalnego, na przykład stwardnienie rozsiane, stoczyłby się, skończył w rysztołu, czy też byłby zdecydowanym szwarczakiem. Dominują egzemplaria pozytywne. Te pasożytnicze na fizycznych i psychicznych cierpieniach filmy są w gruncie rzeczy wielką pochwałą człowieka, jego nieograniczonych możliwości.

W literaturze trudno mówić o tak wyraźnym jak w filmie odrębnym nurcie tematycznym. Literatura taka istnieje, ale czytana jest raczej w kręgach szczególnie tą problematyką zainteresowanych: w szpitalach, sanatoriach. Rozprowadzają ją często ludzie z kręgu Apostolatu Chorych. Fakt, że dzieła te należą zazwyczaj do literatury drugorzędnej nie odgrywa specjalnej roli, wszak ich funkcja jest przede wszystkim terapeutyczna. Ich autorami są zazwyczaj amatorzy, którzy chcą „dać świadectwo”. Są to różne historie ludzi, którzy bądź od dzieciństwa zmagają się z jakąś nieuleczalną chorobą, bądź wytrąceni z normalnego życia przez straszny wypadek muszą uczyć się na nowo egzystować. Utwory te można podzielić na dwie grupy: jedna, której bohater dochodzi do samodzielności własnym, heroicznym wysiłkiem i druga, której bohater przystosowuje się do życia i odradza przy pomocy wiary. Przykładem tekstu reprezentującego grupę pierwszą może być książka Stanisława Podlaskiego *Przewyciężyć siebie*. Jej bohater, człowiek dawniej bardzo aktywny, po wypadku — paraplegik, heroicznym wysiłkiem usamodzielnia się, wraca nawet do pracy, pisze doktorat. Religia wyrzeczeń, nieludzkiej pracy nad sobą tworzą specyficzny klimat tej książki, w której przestrzeganie żelaznej dyscypliny miesza się z dyskretnym podziwem dla samego siebie. Człowiek nie żyje dla szczęścia, twierdzi bohater, lecz dla społeczeństwa. Autobiografia bohatera wypreparowana jest z niekonsekwencji i z jakiegokolwiek radości. Wszystko podporządkowane jest przewyciężaniu niemożności, co wiąże się nie tylko z fizycznym cierpieniem, ale często z upokorzeniem. Życie to ma być pozytywnym przykładem, ale tchnie przygnębiającym dydaktyzmem. Dramat tej książki polega na tym, że jej inspiracja — tragiczne, ale i heroiczne życie autora — przedstawione tu jako pasmo cierpienia, budzi nie tyle podziw, co przygnębienie. Przewyciężanie siebie, samorealizacja, wbrew zapewnieniom autora, nie są w stanie zapełnić pustki i rozpacz jego pozazawodowego życia. Przed opisem tej sfery autor wyraźnie się cofa, podjęcie tego wątku zburzyłoby pozytywny wydźwięk

całości. Rzecz jasna, nie jest moim celem deprecjonowanie tego godnego podziwu życia, zastanawiam się tylko po co włączać w ciasny gorset dydaktyzmu historię, w której nie ma miejsca na niekonsekwencje, na radość i złość, w której problemy fizjologiczne to tylko kłopoty z nie-
trzymaniem moczu. Trudno przypuszczać, żeby autor sądził, że wy-
dźwięk dydaktyczny opowieści jest wprost proporcjonalny do liczby
zawartych w niej opisów cierpienia. Gdzie jest granica między zachwytem
a niesmakiem, między podziwem a niechęcią? Jest próg, którego nie
można przekraczać w stężeniu cierpienia włączanego do literatury.
Efekt może być odwrotny do zamierzonego.

Największym jednak bestsellerem literatury „szpitalnej”, czytany
zwłaszcza na oddziałach urazowych, jest chyba od lat książka Joni
Eareckson *Joni*. To przykład tekstu z grupy drugiej. Jest to historia
młodej dziewczyny, która po skoku do wody i uszkodzeniu kręgo-
słupa nigdy już nie stanęła na nogi, ale która, po początkowym okre-
sie załamania, przy pomocy wiary dochodzi wreszcie do siebie, usa-
modzielnia się i akceptuje wszystko, a nawet jest szczęśliwa. Docho-
dzi do wniosku, że cierpienie nie jest złem, lecz darem bożym. Nad
tym przekonaniem, jakie często w tego typu literaturze można spot-
kać, chciałabym się dłużej zatrzymać. „Biblia powiada, że nasze ciała
są czasowe — mówi Joni. — Gdy patrzyłam na swoje życie z per-
spektywy wieczności, wszystkie moje troski związane z wózkiem in-
walidzkim przestały mnie niepokoić”.¹⁵ Pewnego razu, gdy bohaterka
obserwowała bawiącą się obok niej młodzież, jakaś dziewczyna spy-
tała:

— Czy chciałybyś się bawić tak jak my? [...] — Nie, naprawdę nie — odpowiedziała Joni
— po prostu jestem zadowolona z przebywania na otwartej przestrzeni, na Bożym
podwórku, gdzie mogę rozmyślać nad jego dobrocią i wielkością i modlić się. Wcale nie
przejmuję się tym, że nie mogę biegać razem z wami.¹⁶

Otóż myślenie tego typu może budzić wątpliwości z dwóch powodów.
Po pierwsze, leczy duszę, ale szkodzi ciału. Usprawiedliwia powolność
w walce o usprawnienie ciała, dopuszcza wręcz zaniechanie walki, skoro
jest tak, jak być musi. Jeśli traktuje się cierpienie jako boży przywilej,
trudno z nim walczyć. Tym samym uzasadnia się bierność i poddanie się
losowi. Poza tym, nawet z teologicznego punktu widzenia nie jest przyjęte
traktowanie zła (cierpienia) jako dobra. Zło jest zawsze złem. W kome-
ntarzu do powtarzanego często zdania: „Bóg doświadcza tych, których
kocha” ojciec Francois Varillon stwierdza: „Wyznam wam, że mam

¹⁵ J. Eareckson *Joni*, Warszawa 1991, s. 150.

¹⁶ Tamże, s. 174.

pokusę odpowiedzieć wtedy: «Byle mnie tylko Bóg nie ukochał za bardzo!»¹⁷.

W książkach tego typu cierpienie związane z chorobą traktuje się jako efektywny element retoryki religijnej. To dopiero wiara przywraca tym ludziom sens życia, przywraca radość i spokój, odrywa od nieistotnego ciała. I znów — przy całym szacunku dla niezwyklej siły charakteru Joni — wydaje się, że sposób, w jaki postrzega ona i propaguje wiarę, jest co najmniej kontrowersyjny. Oto główną wartością wiary w ujęciu Joni jest to, że może być ona doskonałym balsamem na nieszczęścia. Im większe nieszczęście jest w stanie pokonać, tym większa jest jej zdolność terapeutyczna, tym większa siła przyciągania. Także i w tym wypadku mówić można o komercyjnym podejściu do cierpienia. Im większe cierpienie — tym większa siła wiary, która je pokonuje i o którą tu tak naprawdę chodzi. Zdolność pokonywania cierpienia jako reklama wiary. Odrębnym, ciekawym zagadnieniem, jest pytanie, jakie w gruncie rzeczy stosuje się kryterium, wyodrębniając z literatury, która przecież od początku swego istnienia z upodobaniem eksploatuje cierpienie, teksty traktujące je jako towar. W niektórych wypadkach, wydaje się, że tym kryterium może być dystans narratora. Chociaż nie zawsze. Ale to temat na osobny, większy tekst.